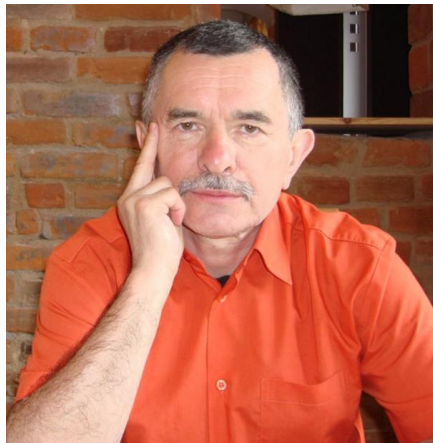


Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (53)

(fragmenty)



Nie poświęcałem czasu nauce, a w przedmiotach ścisłych coraz bardziej się opuszczałem w wyższych klasach. Widocznie jednak potrafiłem zabłysnąć czymś stosunkowo niezwykłym, skoro pani Wychowawczyni miała o mnie takie na-dwoje-babka-wróżyła zdanie...

...Dalekie szkolne dzieciństwo...

Które oczywiście wraz z dorastającymi szkolnymi latami wyraźniej, tak jakby zasłony i mgły opadały i wyłaniały się coraz realniejsze twarze koleżanek i kolegów z klasy...

Jednej osobie chciałbym oddać szczególny pokłon pamięci, bo niewątpliwie wpłynęła i na mnie, i na niektórych moich skądinąd niegłupich i ciekawych świata kolegów. Myślę o pani Krystynie Szparowej. Była fenomenalną druhną drużynową wszczepiającą w nas niepostrzeżenie najszlachetniejsze ideały wynikające z ducha harcerstwa Bade-na-Powella – tego harcerstwa, nie „czerwonego”, lecz odwilżowego, tuż po 1956 roku. Kto wie, czy nie jej – obok lektur – zawdzięczałam najwięcej, jeśli chodzi o kształtowanie chłopięcej wrażliwości. Byliśmy z Panią Krystyną długo jeszcze – po ukończeniu podstawówki – zaprzyjaźnieni. Odwiedzaliśmy ją w każde wakacje po rozjechaniu się do szkół średnich; dzieląc się z nią tajemnicami, nadziejami, opowieściami o porażkach i sukcesach. Uczyla, nie ucząc, reżyserując zabawy, dyskretnie kierując rozmową, uczestnicząc w wycieczkach, w biwakach i wysyłając nas na obozy harcerskie.

Nie, to nie było kaznodziejstwo, lecz do- tknięcie czarodziejskiej różdżki jej talentu pedagogicznego... Była fantastycznym, ciepłym i pełnym energii i niekonwencjonalnych pomysłów człowiekiem.

Pierwsze obłapienia i podszczypywanki dziewcząt, a potem wstyd, gdy kierownik szkoły zawezwał w tej sprawie do szkoły rodziców prawie wszystkich chłopaków z

klasy. I to jaki wstyd – prawie na całą szkołę!

Ach, wbił mi się jeszcze w głowę inny obraz. Jedna z koleżanek poszła na skargę do kierownika szkoły, że „układam” na nią, jako na „skarżypytę klasową”, brzydkie wiersze.

Miałem wtedy po raz pierwszy zakaz piciania wierszy (rym niezamierzony – J.B.).

Po półwieczu budynek szkoły stoi jak stał, pięknie wyremontowany z dobudowanym gimnazjum i halą sportową. Przejżdżam obok niej rowerem setki razy w każde wakacje, gdy wybieram się do lasu na Czarnawie czy do sklepu, i widzę w wyobraźni rozwrzeszczane roje dzieci... a wśród nich siebie, stojącego jakby trochę z boku... – Hej hej! – wołam, ale mnie nie zauważa, w ogóle nikt z nich mnie nie zauważa, ani mojego świata, tak innego, jak i cały Borzęcin, który w ciągu tego półwiecza zmienił się nie do poznania, przeskakując z archaicznej epoki dziewiętnastowiecznej do ery elektronicznej (co jest znaczną zasługą, przez lata najmłodszego wójta w Polsce, Janusza Kwaśniaka).

Dalekie, kurne, zasypane niegdysiejszymi śniegami, zawiane wieloma jesieniami, zmazane milionem późniejszych zdarzeń i późniejszych wypadków życiowych lata szkolnego dzieciństwa... To o was napisałem kiedyś wiersz „Fotografia szkolna”:

*gdzie okiem sięgnąć czas i czas
jesteśmy czasu milionerami*

*śmierć nie oceniła jeszcze skrzydłem
tła fotografii
rozrzucamy czas
pełnymi garściami*

*w kieszeni brzęczy klucz pęk
do stu nieznanym bram*

*życie świeci nam prosto w twarz
bańką z 1000 i 1 nocy
jest jeszcze świat
i wszystko
dosłownie wszystko
może się zdarzyć*

6 września

Wracam do Krakowa. Żegnają mnie zwi- sające tarcze słoneczników, na których wskazówki pokazują zmierzch lata.

*rżyska
orniska
oddaliska
porykiwania krów
rozwleczone
po niebie i ziemi*

*jakby ktoś bliski kochany
odjechał
za lasy za góry
i powiało
chłodem jesieni*

Od 8 do 11 września prowadziłem z Leszkiem Żulińskim warsztaty poetyckie

koło Kruszwicy.

Zdarzyła się podczas tych warsztatów tragiczna sprawa: powiesiła się recepcjonistka hotelu-pałacu w Kobylankach. Odbyło się to w tę noc, gdy poeci bawili się, tańczyli, rozmawiali. Ona – w tym samym czasie – musiała zostać wciągnięta w jakiś straszny lej bez wyjścia, skoro jedynym rozwiązaniem okazał się dla niej sznur, a właściwie kabel od Internetu.

Recepcjonistka była przystojną, korpulentną blondyną. W przeddzień wypadku umówiła się ze mną (na „sicher”), że mnie w niedzielę obudzi o 5 rano i zawiezie do Kruszwicy, żebym zdążył na autobus do Katowic. Mówiła to z przekonaniem i uśmiechem na twarzy (że „nie ma sprawy” że na pewno).

...Recepcjonistka wpadła w oko jednemu z poetów, który o 4 rano, gdy go zanieutralizowanego nosiło, postanowił do niej zejść na recepcję, żeby obdarzyć paroma komplementami. Zdążył... odciąć ją jeszcze ciepłą, dyndającą w powietrzu. Próbował ratować, rozbił sobie przy tym czoło, bo jej ciało miało swoją wagę. Po tej „randce w ciemno” nie mógł do siebie dojść przez cały następny dzień.

Coś ostatnio śmierć (i to przez powieszenie) ociera się o mnie. W lipcu ksiądz w Borzęcinie, w sierpniu – polityk Andrzej Lepper, teraz – recepcjonistka. Jakaś czarna seria.

Nie tylko na śmierć Andrzeja L.

*znów dociera
do nas
jak cienka
granica
dzieli śmierć
od życia*

*pryska
bańka mydlana
oddech*

*ziemia wykonuje
salto mortale
okręcając się
między stopami*

*i odlatuje w nieznanne
z wszystkimi
ziemskimi troskami*

Zuzia

Rozmnażam się.

15 września w szpitalu Rydygiera została wyciągnięta na świat, za pomocą cesarskiego cięcia, Zuzia, czyniąc mnie poczwórnym dziadkiem.

Zuzia nazywa się Kwaśny, ma 56 centymetrów wzrostu, waży 2 kilogramy 800 gramów. Jest córką Ewy i Adama – pisarza, scenarzysty. Cieszę się, że zdrowa... Wcześniejsze wnuki to Nina, Jasiu i Kubuś...

cdn.